

236 661A gje

Ćwierć wieku temu
ogłosiła w telewizji
koniec komunizmu. Potem
wielokrotnie prowokowała
dyskusje na ważne tematy.
Teraz znów jest o niej
głośno, bo w książce
o swojej rodzinie wyjawiała
bolesne tajemnice.
W wywiadzie dla
„Twojego STYLU”
słynna aktorka
Joanna Szczepkowska
tłumaczy, czemu zawsze
mówi to, co myśli,
gdy inni wolą udawać,
że nie ma problemu.
Dlaczego walczy
z silniejszymi.
I jaką płaci za to cenę.

Wierna sobie

TEKST: ANNA JASIŃSKA ZDJĘCIA: ZUZA KRAJEWSKA/LAF AM

WYZNANIA NIEPOKORNEJ



Stylizacja: ANNA PONIEWIERSKA, MONIKA LEWANDOWSKA, makijaż: BEATA MILCZAREK/Metaluna, fryzury: MICHAŁ BIELECKI, scenografia: ANNA TYŚLEROWICZ, MICHAŁ RUFF
Sukienka Gosia Baczyńska

WYZNANIA NIEPOKORNEJ

< **Twój STYL: W Pani nowej, wydanej właśnie książce, jest taka scena: Pani, drobna dzweczynka, idzie szkolnym korytarzem w podstawówce. Za Panią pojawia się największy w szkole chulgan, przywódca jakiegoś gangu nastolatków...**

Joanna Szczepkowska: Tak było. Mruczał coś pod nosem, a ja się nagle odwracam i wyprowadzam lewy sierpowy wprost w jego spłot słoneczny.

TS: Ten chłopak został znokautowany! Wezwano do niego lekarza. Dlaczego Pani to zrobiła?

JS: No właśnie. Sama siebie wtedy o to zapytałam. Pewnie to była jakaś suma upokorzeń innych dzieci, których byłam świadkiem. Wszyscy się tego chłopaka bali. A ja tam, na korytarzu szkolnym, miałam taki silny impuls, żeby mu nagle przyłożyć – i rzeczywiście po chwili leżał jak długi. Kiedy dzieci wskazały mnie jako sprawcę, nauczyciele nie uwierzyli. Ta malutka, pulchna Joasia, która ślicznie recytuje wiersze? Nikt nie wiedział, że oprócz tego czasem trenowałam boks... Brat mamy, mój wujek, był ode mnie starszy tylko dziewięć lat. Często zakładaliśmy rękawice bokserskie i z pokoju robiliśmy ring. Oglądaliśmy też wszystkie mecze i uczyliśmy się techniki bokserskiej. Ale... czemu akurat ta historia zwróciła pani uwagę?

TS: Bo mam wrażenie, że w dorosłym życiu cios w spłot słoneczny przeciwnika – często silniejszego – to Pani specjalność.

JS: No, coś w tym jest. (*śmiech*) To zdarzenie rzeczywiście w jakiś sposób charakteryzuje moje życie. Podobną rzecz zrobiłam też w szkole aktorskiej, kiedy wyjechaliśmy na wymianę uczelni do Leningradu. Na moim roku był jeden agresywny student. I również wszyscy się go bali. Nie wchodziłam mu w drogę, ale mimo to właśnie podczas tego wyjazdu podszedł do mnie pijany i zaczął wygadywać jakieś obraźliwe rzeczy. Obok stał mój ówczesny chłopak, ale bał się strasznie i nic nie robił. Tamten odszedł w przekonaniu, że triumfuje. Wtedy też miałam poczucie, że to nie może się tak skończyć. Podeszłam do tego pijanego chłopaka i dałam mu w twarz, na co on wykręcił mi rękę i uderzył z całej siły. A potem to już była wojna. Kiedy rosyjscy studenci zobaczyli, że chłopak bije dziewczynę, natychmiast się na niego rzucili. A kiedy z kolei Polacy zobaczyli, że „Ruscy biją naszych”, ruszyli do ataku i już po chwili właściwie w ogóle nie było wiadomo, o co się tak strasznie tłuką.

TS: Czemu Pani się naraża, gdy inni wolą udawać, że nie ma problemu?

JS: Bo problem nadal jest. A mnie po prostu szkoda życia na udawanie.

TS: A skąd ta skłonność do zadzierania z silniejszymi?

JS: Nie wiem, czy to jest skłonność. Po prostu niespecjalnie mnie interesuje, czy ktoś, kto zachowuje się nie fair, jest ode mnie silniejszy. Wiem, że to może wyglądać na impulsywność, działanie pod wpływem emocji. I może tak było we wczesnej młodości. Ale później większość moich działań, które wywoływały jakieś dyskusje, była bardzo przemyślana. Zwykle dobrze znam konsekwencje i siłę komentarzy, jakie wywołują moje wystąpienia.

TS: Jak choćby niedawno, gdy w felietonie *Do arcybiskupa Michałika* napisała Pani, że w dzieciństwie molestował Panią dziadek ze strony ojca? Historia wstrząsająca. W Polsce znani ludzie nie ujawniają takich rzeczy, bo to narusza wizerunek, naraża na szyderstwa.

JS: Dla mnie to też nie była łatwa decyzja. Kiedy jednak usłyszałam słowa arcybiskupa o tym, że molestowanie jest prowokowane przez niekochane dzieci z patologicznych rodzin, zaczęłam rozważać takie zwierzenie. Na szczęście nie należę do ludzi, którzy ujawniają swoje prywatne życie, więc wyjątek, jaki zrobiłam, miał swoją wagę. Nie sądzę, żeby ktoś podejrzewał mnie o „podpinanie się” pod gorący temat. Chodziło mi głównie o to, żeby tekst trafił do środowisk bliskich biskupowi. I żeby dać świadectwo, że nawet bardzo kochane dziecko, z wzorowej rodziny, też może doświadczyć czegoś takiego. Pisząc mój felieton, myślałam o tym, że kładę na sobie pewien szczególnie cień, ale myślę, że ja tu jestem najmniej ważna.

TS: „Przez prawdomówność zatopiłam wiele rzeczy w życiu. Ale jedno jest pewne – zrobiłabym to jeszcze raz”. To cytat z Pani sprzed lat. Nic się nie zmieniło?

JS: Nie. Rzeczywiście zrobiłabym jeszcze raz właściwie każdą z tych rzeczy, które narażały mnie potem na trudne konsekwencje. Ja mam po prostu wrażenie, że kiedy się milczy dla świętego spokoju, to w człowieku narasta frustracja. Winimy jakichś „innych” za nie taki świat, podczas gdy to my sami stajemy się sprawcami odpowiedzialnymi za to, co jest. Dzięki temu, że reaguję, gdy coś mi się nie podoba, udało mi się kilka razy naruszyć jakieś tabu, wywołać publiczną dyskusję. Cena jest na ogół duża – taką osobę kreuje się plotką na „niezrównoważoną” albo tak czy inaczej izoluje od głównych nurtów. Ale to mój świadomy wybór.

TS: Chyba nieprzypadkowo obchodził Pani imieniny nie wtedy, gdy większość Pani imienniczek, tylko w dniu, którego patronką jest Joanna D’Arc.

JS: To mama wybrała mi taką patronkę i rzeczywiście, obchodzę imieniny nietypowo, bo 30 maja, a nie 24 jak inne Joanny. Kiedy zdawałam do szkoły teatralnej i szukałam jakiejś bliskiej mi postaci, którą mogłabym zagrać,

to wybrałam właśnie Joannę D’Arc. Bardzo mi się wtedy podobał jej monolog ze sztuki Bernarda Shawa. Joanna odwołuje w niej nagle zeznania, w których wyparła się swoich „głosów” i całej misji. Świadoma kary śmierci mówi przed sądem swoją prawdę. Chyba zresztą dzięki temu monologowi zdałam do szkoły teatralnej, bo w czasie egzaminów nie miałam łatwo. Opisuję tę historię w mojej książce *Kto ty jesteś*.

TS: Skąd wziął się pomysł na książkę o szukaniu siebie w przeszłości i w losach przodków?

JS: Wszyscy jesteśmy dalszym ciągiem temperamentów rodzinnych. Ja uważam, że mam bardzo nietypowe, dziwne życie i czasem zadaję sobie pytanie, po kim odziedziczyłam taką historię, taki rodzaj temperamentu.

TS: Coś Panią w Pani życiu szczególnie zaskakuje?

JS: Jest w nim mnóstwo sprzeczności. Mam naturę odludka, a zarazem społecznika. Sama powoduję wiele ruchu w świecie, a jednocześnie uciekam od ludzi. Ciągnęło mnie zawsze do teatru, a tymczasem najszcześniejsza jestem na samotnych, wielokilometrowych spacerach. Wybrałam zawód aktorki, czyli kogoś, kogo się ogląda, a tak naprawdę wolę obserwować ludzi, niż być obserwowana.

TS: W Pani książce jest tyle rodzinnych tajemnic, które demaskuje Pani na naszych oczach, że czyta się ją jak kryminał.

JS: Bo to była trochę praca detektywistyczna. Gdy ją pisałam, mój pokój wyglądał jak gabinet śledczego: stare fotografie rozłożone na podłodze, dokumenty, akty urodzenia dziadków, pradiadków... To trwało pięć lat. Zaczęło się od zamiaru napisania autobiografii – rozdział o moich przodkach miał być tylko krótkim wstępem. Ale kiedy zaczęłam szperać w domowym archiwum, nagle wiele rzeczy zaczęło się nie zgadzać. Im bardziej się w nie zagłębiałam, tym więcej było niejasności. Wreszcie stało się dla mnie oczywiste, że rodzina coś ukrywała, coś zafałszowywała. Dochodzenie do prawdy wciągnęło mnie, można powiedzieć, narkotycznie. Jeździłam po archiwach, do nieznanych, dalekich miejscowości... A ja nie prowadzę samochodu, więc były to prawdziwe wielodniowe wyprawy z nocowaniem w dziwnych miejscach, pukaniem do nieznanych drzwi. I nagle z mojej autobiografii zrobiła się opowieść, w której historia moich przodków stała się kluczowa. To mnie tak pochłonęło, że w rodzinie przez te pięć lat ciągle powtarzano: „Ona jest, ale jej nie ma, bo pisze tę książkę”.

TS: Które z genealogicznych odkryć było największym przewrotem w Pani świecie?

JS: Z całą pewnością sprawa dotycząca mojego dziadka Jana Parandowskiego. Bardzo trudna historia. Okazało się, że jego ojciec >



TYLKO nie życiowy luzik

Matka wpajała jej, że sukces i popularność to nie jest coś, o co warto zabiegać. Bo w życiu liczą się wartości. A gdy ktoś je narusza, nie wolno stać i patrzeć. Joanna przejęła takie spojrzenie na świat: „Fajne życie na luziku nigdy mnie nie pociągało – mówi. – Mam poczucie humoru, lubię bawić ludzi, ale rzeczywistość przeżywam boleśnie. Gdy widzę problem, nie umiem milczeć”.



SKĄD ? te sprzeczności

Zawsze czuła się społeczniką, choć ma naturę odludka. Wybrała zawód aktorki, mimo że woli obserwować innych, niż być obserwowana. „Ze mną można przegadać całe godziny o miłości i sensie życia – mówi. – Ale gdy się zaczyna small talk, milknę”. Mieszka w wynajmowanym mieszkaniu i nigdy nie miała samochodu. Dlaczego tak? „Człowiek nie ma nic do stracenia, to daje wolność” – tłumaczy.

< a mój pradziadek, był ukraińskim księdzem grekokatolickim, a Jan był jego nieślubnym dzieckiem. Jan Parandowski jako pisarz nigdy nie dał choćby znaku o swoim ojcu, a jeżeli pisał cokolwiek na ten temat, to miało się z prawdą. W przekazie rodzinnym ojciec Jana po prostu nie istniał, chociaż z tego, co dziś wiem, wynika, że bardzo dbał o rozwój syna. Oczywiście zadawałam sobie pytanie, czy powinienam te fakty odkrywać dla czytelnika.

TS: I dlaczego Je Panl upubliczniła?

JS: Bo tajemnic związanych z moim dziadkiem odkryłam więcej i one były dla mnie coraz bardziej zdumiewające. Ostatecznie do ujawnienia wszystkiego przekonała mnie ukrywana postać pierwszej żony dziadka, Aurelii Wyleżyńskiej. To była prawdziwa intelektualistka i jedna z pierwszych kobiet w Polsce, o których można mówić „wyzwolona”. Mimo arystokratycznej rodziny i dużych pieniędzy postanowiła sama się kształcić i pracować. Z całą pewnością przyczyniła się do ugruntowania pozycji dziadka we Lwowie. Podczas wojny ukrywała Żydów w swoim mieszkaniu w Warszawie. Była bohaterką, zginęła w powstaniu. Dziadek jeszcze przed wojną zostawił ją dla młodziutkiej studentki – mojej babci. Jednak zanim do tego doszło, zaledyował Aurelii swoją pierwszą książkę *Bolszewizm i bolszewicy*. Jednak w kolejnych wydaniach tej książki rodzina dedykację usunęła. O istnieniu Aurelii nie wspomina żadna z biografii Jana Parandowskiego. Kiedy odkryłam to wszystko, stało się dla mnie jasne, że jeśli mam napisać o swojej rodzinie, to tylko całą prawdę. Inaczej nie ma sensu.

TS: Ujawniła Pani te wszystkie rodowe tajemnice w obronie wielkiej kobiety?

JS: Tak, ale nie tylko dlatego. Jan Parandowski napisał wiele pięknych książek, a przy jego nazwisku w każdej encyklopedii można przeczytać „wielki humanista”. Myślę, że czas zadać pytanie, kim współcześnie jest „wielki humanista” i czy humanistycznie jest wyprzeć się takiej żony?

TS: Niespodziewanych odkryć było więcej?

JS: Tak. Okazało się na przykład, że moja babcia Irena pochodziła z ortodoksyjnej żydowskiej rodziny. Dokonała konwersji dopiero na rok przed ślubem. I ja też nic o tym nie wiedziałam. To wszystko w rodzinie ukrywano pewnie z powodu wojennych traum. Teraz wiem, że brat babki zginął w Oświęcimiu. Mnie to odkrycie pomogło zrozumieć źródło różnych podświadomych decyzji, podróży...

TS: Jakich na przykład?

JS: Zawsze miałam poczucie, że muszę odwiedzić to miejsce. Wreszcie pojechałam do Oświęcimia, zupełnie sama. Wynajęłam przewodnika i długo chodziłam z nim po obozie. On sam się dziwił dlaczego, bo rzadko zda-

rza mu się jedna słuchaczka. A ja miałam jakąś niewytłumaczalną, silną potrzebę, żeby się tam znaleźć, żeby nie uciekać od tego, co ci ludzie przeżyli. W ogóle staram się nie uciekać od świadomości bólu, cierpienia. To też cecha rodzinna. Moja mama i babka często mówiły o głodzie na świecie, o wojnach, biedzie, jakby równoważąc swoje dobre samopoczucie. Odziedziczyłam takie przeżywanie rzeczywistości.

TS: Zdiagnozował to u Pani nawet pewien tybetański uzdrowiciel.

JS: Tak, od tego epizodu zaczynam nawet książkę, bo to była jedna z najbardziej zaskakujących diagnoz na mój temat, jakie kiedykolwiek usłyszałam. Ale nie chcę tu opowiedzieć wszystkiego. Wolę, żeby czytelnik poznał tę historię z książki. Powiem tylko, że ten uzdrowiciel z Tybetu uznał mnie za najcięższy przypadek w swoim życiu.

TS: Jak Pani zareagowała, słysząc taką diagnozę?

JS: Byłam zdumiona, bo wokół było wielu ciężko chorych... Miałam nawet podejrzenie, że on to samo mówi każdemu, ale podsłuchałam i okazało się, że nie. W końcu kazał mi się położyć, popatrzył mi w oczy i zapytał: „Czy ty chcesz być nieszczęśliwa?”. A ja po chwili namysłu odpowiedziałam mu: „Tak, chcę”. A potem oboje się do siebie uśmiechnęliśmy.

TS: Dlaczego tak?

JS: Bo to prawda. Wcale zresztą nie taka smutna, jak się wydaje. Pewnie dlatego on się do mnie uśmiechnął. Myślę, że się zrozumieliśmy. Wiem, że dla wielu osób to dziwne, ale fajne życie na luziku nigdy mnie nie pociągało. Odwrotnie. Szybko się nudzę w takich towarzyskich chichotkach. Ja się lubię zachwycić, zdziwić, pomilczeć. Tak mnie uformowano...

TS: Pani w ogóle była nietypowo wychowywana. Za porażkę, na przykład dwóję w szkole, były lody na pocieszenie. A kiedy Pani dostawała piątkę, to mama bywała uszczypliwa, ironizowała. To się przełożyło na Pani dorosłe życie?

JS: Zdecydowanie. Moja matka wpajała mi na każdym kroku, że sukces i popularność nie są żadną wartością. Sama była córką pisarza i coś na ten temat wiedziała. Jej pierwszą reakcją po moim debiucie w głośnej telewizyjnej adaptacji spektaklu Aleksandra Bardinięgo *Trzy siostry* było: „A teraz idź wyrzucić śmieci”.

TS: Pani wychowywała swoje dwie córki w ten sam sposób czy na przekór?

JS: Trochę na przekór. Wyjaśnię dlaczego. Moja matka miała silne zasady, a jednocześnie wielkie poczucie humoru i naprawdę niekonwencjonalne podejście do życia. Ja ją po prostu uwielbiałam. Jako dorosła kobieta uświadomiłam sobie, że patrzę na świat jej oczami. I wtedy przeszłam dość późny bunt. Zaczę-

łam wszystko przewartościowywać, nazywać po swojemu. Dla mnie to było trudne, ona to też silnie przeżywała. I dlatego potem już jako matka robiłam wszystko, żeby moje córki we mnie nie były tak zapatrzone. Żeby nie były moim odbiciem, tylko sobą. I to mi się udało. Na przykład kiedy do szkół weszła religia, to one zapisały się na etykę, nie pytając mnie o zdanie. Poinformowały mnie jedynie o swoim wyborze. A ja, chociaż religia jest dla mnie istotna, naprawdę się ucieszyłam. W ich wieku nie podjęłabym takiej decyzji sama, zbierałabym się długo do rozmowy z mamą i pewnie bym skapitulowała.

TS: Ale Pani mama też zachęcała Panią do nlesubordynacji. W książce Jest piękny dialog. Mama pyta Panią nastolatkę: „Pallisz już? – Nie, nie palę – pada odpowiedź. – A ja już w twoim wieku pallam!”.

JS: No tak. Poświęcam mojej matce dużo miejsca w książce, bo nigdy nie poznałam drugiej takiej kobiety, takiej matki. Ona sama w młodości była dość niesforna, zbuntowana i też chciała we mnie widzieć takie cechy. Ale po co ja się miałam buntować, jak nie było przeciw czemu?

TS: Jak bardzo nietypowy był Pani dom rodzinny?

JS: Z jednej strony był dość normalny. Mama gotowała obiady, żyliśmy bardzo skromnie, mimo że tata był znanym aktorem. A nietypowe? Chyba rozmowy. U nas – co mi zresztą przeszkadzało – nie rozmawiało się o zwykłych, codziennych sprawach. Nigdy. To zawsze były raczej dyskusje na temat jakiegoś zjawiska, sprawy, książki. A jak przychodzili goście – aktorzy, pisarze – to każdy z nich od progu starał się coś odegrać, zaskoczyć innych jakąś anegdotą. Dużo było popisów, niby fajnie, ale potem szłam do koleżanki i takie zwykłe rozmowy: „a gdzie to kupiłaś?”, „a wiesz, wczoraj byłam u lekarza” itp., wydawały mi się niezwykle atrakcyjne. Jednak nigdy się nie nauczyłam tak rozmawiać. Ze mną można całe godziny przegadać o miłości i sensie życia, ale kiedy się zaczyna small talk, milknę.

TS: To ciekawe, że wspomniła Pani teraz o miłości, bo w książce Jest tylko jeden rozdział na ten temat, zresztą bardzo ogólny.

JS: Wiem. Ta sfera jest dla mnie ważna i zawsze była, ale bardzo dbam, żeby o moim życiu osobistym było wiadomo... najlepiej nic. Dlaczego? Mamy takie czasy, że aktorkę-pisarkę od celebrytki dzielić może tylko mały krok. A tym krokiem może się okazać jedno zbyt osobiste wyznanie.

TS: To może wyjawli Pani, dlaczego nie zagrała w Krótkim filmie o miłości. Krzysztof Kleślowski tak bardzo chciał, żeby Pani wzięła tę rolę. Grażyna Szapotańska dostała ją, gdy Pani odmówiła.

WYZNANIA NIEPOKORNEJ

< **JS:** Wyjawię, ale to nie zmienia faktu, że moje wybory są niezrozumiałe czasem nawet dla mnie samej. Wtedy chodziło o to, że postać tej kobiety zupełnie do mnie nie przystawała. W teatrze można zagrać kogoś zupełnie innego, ale w filmie, zwłaszcza współczesnym, dobrze jeśli osobowość jakoś współgra z postacią. Ja uważałam, że nie mam w sobie nic z kobiety, która może ekscytować się uwodzeniem młodziutkiego chłopaka. I to wystarczyło. Oddałam rolę lekką ręką.

TS: A jaki typ relacji damsko-męskiej wzbudza w Pani emocje?

JS: Nie ma reguły. Co z tego, że określe swój typ. W życiu bywa tak, że nagle pojawia się ktoś zupełnie inny, a jednak iskrzy. Na ogół podobają mi się mężczyźni drogi, samotnicy, którzy mają swoją pasję. Zupełnie mnie nie interesują kobieciarze, wiecznie pobudzeni mężczyźni. Kiedy byłam nastolatką, moim ideałem mężczyzny był chłopak w podartym prochowcu – nie wiem, dlaczego w podartym. (*śmiech*) Pasjonat piłki nożnej. Rywalizować z meczem to było wyzwanie. A wracając do ról, które odrzuciłam, to najbardziej niezrozumiałe dla mnie jest to, że nie przyjęłam propozycji pewnej francuskiej reżyserki. Zobaczyła mnie w *Kronice wypadków miłosnych* Wajdy i uparła się, żebym zagrała główną rolę w jej filmie. Lata 80., taka propozycja to było coś niebywałego. Pamiętam, że zadzwoniła się do mnie do domu, gdy akurat obierałam włoszczyznę. Rozmawiałam z nią, nie przerywając obierania. Ona mi tłumaczyła, że chce przekonać producentów filmu do mnie, bo przecież nie znają aktorki z Polski, i żebym w związku z tym jej pomogła, przygotowując swoje CV. Wysłuchałam, odłożyłam słuchawkę, zajęłam się włoszczyzną i... zapomniałam. Wiele osób nie wierzy, że można o czymś takim zapomnieć. Kilka tygodni później ta reżyserka zadzwoniła rozemocjonowana z pytaniem: „No gdzie to CV?!”. A do mnie dotarło, że ja się tym w ogóle nie zajęłam. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak się zachowałam. Choć mam pewne podejrzenia.

TS: Jakle?

JS: Chyba podświadomie zawsze uciekałam przed tym, żeby być po prostu wykonawcą. Żeby podporządkować się czyjemuś gustowi, nawet czyimś ramom czasu. Ale może dzięki temu mogę pozostać dziś w pełni niezależnym komentatorem rzeczywistości.

TS: Panią rzeczywiście trudno gdzieś przypisać. Raz mówi Pani jednym głosem z feministkami, one już niemal uważają Panią za jedną z nich, a wtedy w innej sprawie nagle zgadza się Pani z konserwatystami.

JS: No tak, a u nas jest przyjęte, że poglądy ma się w pakiecie. Jeśli jesteś za in vitro, to cię biorą za zwolenniczkę gender. Jeśli jesteś

za związkami partnerskimi, to się nie mogą nadziwić, że stajesz w obronie księdza. A ja się staram po prostu patrzeć na każde zjawisko, na każdą osobę niezależnie od pojęć „prawica”, „lewica”, które zresztą dawno straciły swoje pierwotne znaczenia. Niedawno wyraziłam się na przykład krytycznie o pewnych przejawach gender i natychmiast dostałam zaproszenie od posłanki Beaty Kempy na dyskusję w tej sprawie. Ponieważ wyeliminowano z prawa do tej dyskusji posłankę Grodzką, odpisałam, że chętnie przyjdę, ale razem z nią. Co to za dyskusja, jeśli mówi się tylko do już przekonanych? Myślę, że mogę wnieść tam coś nowego, ale po to, żeby wysłuchał mnie właśnie zwolennik gender, a nie przeciwnik. Jak na razie kontakt się urwał. Oczywiście mój publiczny, pełen szacunku list do Beaty Kempy wywołał z kolei złośliwe komentarze tych, którzy dzielą posłów tylko na „zacofanych” i „postępowych”. A ja staram się po prostu słuchać tego, co ludzie mówią, i rozróżniam politykę od poglądów. Ludzie jednak nie chcą rozmów w takim stylu. Wystarczy powiedzieć „to nie jest do końca tak, sprawa jest bardziej skomplikowana...”, a wokół robi się pusto. Przywykłam już do tych szepcików: „Co się z nią stało?! Kiedyś była normalna”.

TS: Powiedziała Pani raz: „wolę umrzeć z głodu niż ze wstydu”. Pani żyje tak minimalistycznie, jak się mówi?

JS: A tak się mówi? Może słusznie. Mieszkam w dwupokojowym wynajmowanym mieszkaniu, nigdy nie miałam samochodu, na ogół jeżdżę komunikacją miejską.

TS: Nie ma Pani pokusy, żeby zapewnić sobie jakąś materialną stabilizację, choćby własne mieszkanie?

JS: Przy moim stosunku do życia lepiej mieć jak najmniej do stracenia. Mam wielu znajomych uzależnionych od wysokiego standardu. Dawniej mówili, co myślą, a teraz ważą każde słowo. Wielu z nich nawet otwarcie się przyznaje do takiej zmiany, bez wstydu. Mówią: „ja wiem, że to g...”, ale muszą dotrzeć do emerytury”. A kiedyś chodzili z prasą podziemną w plecaku, ryzykując więzienie. To po co chodzili? – pytam. Żeby tkwić w g...? Nie rozumiem, a raczej nie chcę zrozumieć.

TS: Kiedy się Pani ostatnio śmiała, tak z całych sił?

JS: Jak się ma dwuipółletnią wnuczkę, taką jak moja, to właściwie codziennie ma się powody do śmiechu. Nie mówiąc już o bieganiu, skakaniu i tańcach. Trudno się nie śmiać, słysząc zdania

„Zdejmij okulary, bo tu jest ciepło” albo „Zapal lampę, bo światło nas nie widzi”. A czemu pani zapytała o śmiech? No tak... nasza rozmowa zeszła na zasadnicze tematy, ja w dodatku powiedziałam, że nie lubię „fajnego życia”. Ale poczucie humoru to jedna z moich głównych cech. Wcale nie jestem taka „ciężko-romantyczna”. Polecam moje tłumaczenie *Ody do młodości* na język współczesny. Dwie sztuki, które napisałam i w których gram, to też są komedie. Teraz powstała trzecia, a ja szukam miejsca na autorską scenę, gdzie mam zamiar po prostu bawić ludzi swoimi tekstami. Bawić, a nie przytłaczać smutkami. Nie mogę się już doczekać tego miejsca.

TS: Jakaś szczególnie szczęśliwa chwila w ostatnim czasie się Pani przydarzyła?

JS: Ona się przydarzy, kiedy znajdę taką scenę dla siebie. Prywatne chwile szczęśliwe zachowam dla siebie, a takie zachłyśnięcie się szczęściem? Wczesna wiosna w dolinie Biebrzy. Świt. Pierwsze przyloty ptaków i ich głosy. Ja tam zawsze jeżdżę i siadam na brzegu jak na widowni. Wszystko zyskuje swoje prawdziwe proporcje. Życie naprawdę jest piękne i to nie jest banał, tylko fakt łatwy do udokumentowania.

TS: Gra Pani teraz w *Wiśniewym sadzie* w teatrze Studio postać, która w końcowej scenie rzuca w przestrzeń pytania: „Po co ja jestem? Dlaczego tu jestem?”. Potrafi już Pani na nie odpowiedzieć?

JS: Pyta mnie pani, czy wiem: jak żyć?

TS: Trochę pytam. Nie każdemu takie pytanie się stawia – ono jest obśmiane, wiem – ale Pani chciałam je zadać.

JS: Łatwo nie będzie, bo ja się wystrzegam dawania rad. Poza jedną – każdy powinien żyć zgodnie ze swoim temperamentem, na swoją miarę. I nikt nie ma prawa mówić nikomu, jak trzeba żyć. To, co ja mogę udźwignąć, dla innej osoby może okazać się za ciężkie. Nie należy iść po śladach. Każde życie jest inne, niepowtarzalne. Jak linie papilarne.

Rozmawiała ANNA JASIŃSKA



PRAWDA POKOLEŃ

Książkę *Kto ty jesteś* o poszukiwaniu siebie w losach przodków Joanna Szczepkowska pisała przez pięć lat. Przypominało to chwilami pracę detektywa: podróże w nieznane miejsca, odszyfrowywanie skrywanych od pokoleń tajemnic. Efekt... czyta się jednym tchem (Wydawnictwo Czerwone i Czarne).